

Kaprał Schulz pokazuje i objaśnia

12 stycznia 2016

Dywanik ambasadora Niemiec w polskim MSZ to pierwsza, ale nie ostatnia z trudnych rozmów, które czekają w najbliższym czasie nasze państwa. Ich stawką jest bowiem nie urażona duma, ale fundamentalne różnice w kwestii funkcjonowania Europy.

Wypowiedzi niemieckich polityków nie są bowiem przejawem jakichś szczególnie antypolskich nastrojów czy skierowanego na wschód szowinizmu. To raczej reakcja szokowa w odpowiedzi na sygnały, iż tworzony przez lata z mozołem projekt niemieckiej Europy, jeżeli nie kończy się, to przynajmniej wymaga istotnej korekty. Polska, tak, jak inne państwa członkowskie UE upomina się nie tylko o własne interesy, ale także o bardziej zrównoważoną i po prostu sprawiedliwą Unię – jedyną, która ma szanse na przetrwanie.

Znam przewodniczącego Parlamentu Europejskiego (miałem ogromną przyjemność przeprowadzić z nim wywiad na pamiętnym szczycie w Wilnie, który stał się mechanizmem spustowym ukraińskiego kryzysu) i wiem, iż nie jest on ani polakożercą, ani niemieckim szowinistą w ogóle. Problem Martina Schulza i innych demiurgów integracji polega na tym, iż funkcjonując przez lata w brukselskiej nadbudowie, kompletnie oderwali się od europejskiej bazy. Dla ludzi, których świat stanowią niekończące się dywagacje parlamentarnych frakcji, lobbowanie wszelakich interesów wewnątrz Komisji i miesiącami cyzelowane dyrektywy, interesy zwykłych obywateli z czasem stają się nie tylko abstrakcją, ale zagrożeniem, wyrazem niekontrolowanego chaosu, gotowego w dowolnym momencie zburzyć budowany w pocie czoła nowy wspaniały i kierowany z Brukseli porządek.

Tym patrzącym na świat z okien szklanych biurowców i przemierzających ulice w pancernych limuzynach „nadludziom”

wyduje się, iż logika historii nieuchronnie wiedzie ku postępowi, którego ostateczną formą będzie rozmycie się państw narodowych w rządzonej przez mędrców wspólnocie. A jeżeli jakiś naród, irlandzki, grecki, węgierski czy polski nagle zdecyduje, iż sprawa wymaga co najmniej przemyślenia, to należy objaśnić mu jego „błędy” przy pomocy „mechanizmu ochrony państwa prawa” i pokazać właściwą drogę do szczęścia.

Kolejną warstwą problemu, którego wyrazem są gniewne wypowiedzi Schulza jest nasilające się zjawisko podmiiany pojęć: działająca w imię wspólnego interesu zjednoczonej Europy brukselska biurokracja w coraz większym stopniu staje się instrumentem w rękach bardzo konkretnych lobbies dysponujących siłami i środkami pozwalającymi przekonać europosłów i eurokomisarzy, iż to właśnie ich interesy są kwintesencją „europejskiego wyboru” większości. A tak się składa, iż przedstawiciele najbogatszych i najbardziej wpływowych grup nacisku mają na piersi paszporty z czarnym orłem. I właśnie tacy idealiści jak Schulz, głęboko wierzący w swoją misję cywilizowania wschodnioeuropejskich (i w ogóle wszystkich, o czym boleśnie przekonali się jeszcze niedawno uznawani za „pełnowartościowych” Europejczyków Włosi czy Grecy) dzikusów są dla niemieckich fabrykantów, magnatów medialnych, bankierów, urzędników i polityków najlepszym listkiem figowym, którym przykrywane są działania, od czasów Adolfa Alojzowicza budzące alergiczną reakcję czyli dążenie do niemieckiej hegemonii w Europie. Nie po to bowiem Polska i inne kraje wstępowały do wspólnego europejskiego domu, aby okazało się, iż nie jest to żadna zorganizowana zgodnie z literą traktatów wspólnota, ale koszary rządzone przez niemieckich dziadków, w których wschodnioeuropejskie koty mają stawać na baczność i bez szemrania wykonywać polecenia, podczas, gdy formalnie sprawujące władzę trepy w rodzaju Tuska czy Junckera odwracają oczy udając, że nic się nie dzieje.

Jest jeszcze jeden aspekt sprawy, w owładniętej polityczną poprawnością Europie konsekwentnie pomijany i przemilczany.

Martin Schulz, mówiąc o „putinizacji polskiej polityki” prawdopodobnie chciał w złośliwy sposób napiętnować praktyki, które uważa za nieodpowiednie dla odpowiedzialnego członka cywilizowanej wspólnoty. Problem w tym, iż przy wszystkich swych wadach putinizm jest ustrojem, w którym 90% obywateli popiera swojego lidera, murem stoi za prowadzoną przez państwo polityką i potrafi sprężyć się w obliczu kryzysu, stawiając dobro wspólnoty wyżej indywidualnych czy grupowych doraźnych interesów – posiada więc wszystkie te cechy, których tak bardzo brak innym państwom Europy i których szczególnie deficyt odczuwają towarzysze komisarze w Brukseli.

Nie siedzę w głowie Jarosława Kaczyńskiego i innych osób odpowiedzialnych dziś za prowadzenie polskiej polityki, ale wydaje mi się, iż niemieckie połajanki tylko utwierdzają ich w przekonaniu, iż postępują właściwie. A w kontekście faktu, iż jawnie dążą przeciw do odzyskania przez Polskę suwerenności, a więc możliwości decydowania samemu o swoim losie, dokładnie tak, jak w Rosji dokonał tego Władimir Władimirowicz, słowa o putinizacji mogą uznać za komplement.

Na naszych oczach rozpoczęła się właśnie debata o tym czym będzie (i czy w ogóle będzie) Unia Europejska: budowaną dobrowolnie na zasadach konsensusu praworządną wspólnotą służącą zamieszkującym ją ludziom, czy rządzoną na zasadzie fali fasadą kryjącą starą niemiecką geopolityczną paranoję i imperialne pretensje. W pierwszym przypadku, przetrwa i rozwinie się z pożytkiem dla Polski, Niemiec i Martina Schulza, który może w końcu uwieńczy karierę wymarzonym stanowiskiem szefa Eurokomisji. W drugim niechybnie się rozpadnie, ze skutkami najbardziej bolesnymi dla tych, którzy w jej imieniu upominają dziś Polskę.

Autorstwo: Jakub Korejba

Źródło: pl.SputnikNews.com